



Byłem najstarszym rezerwistą



**Wywiad z Andrzejem Mazurem,
byłym żołnierzem 6. Pomorskiej Dywizji Powietrzno-Desantowej,
uczestnikiem wielu specjalistycznych ćwiczeń rezerwy**

- **Andrzeju, znamy się już mnóstwo lat. Opowiedz, jak zostałeś żołnierzem 6. szkolnego batalionu powietrznodesantowego' stacjonującego w Niepołomicach, nieopodal Krakowa.**

W 1967 r. zostałem wezwany do stawienia się przed wojskową komisją lekarską, która znajdowała się przy ul. Kanoniczej w Pałacu Erazma Ciołka. Po wnikliwym badaniu lekarskim otrzymałem kategorię zdrowia „A”. Pułkownik z komisji zadał mi pytanie: gdzie chcecie służyć? W desancie czy marynarce wojennej? Chcę być najbliżej domu – odpowiedziałem. W następnym roku, tuż przed maturą, zostałem wezwany na badania lekarskie, w 5. WSR przy ul. Wrocławskiej. Przeszedłem szczegółowe badania, łącznie z testami psychotechnicznymi.

W trakcie zdawania matury otrzymałem wezwanie do stawienia się w ośrodku szkolenia skoczków spadochronowych w Krośnie nad Wisłokiem. Nie mając jeszcze w ręku świadectwa dojrzałości, w czerwcu 1968 r. wylądowałem na szkoleniu spadochronowym. Łącznie ze mną było tam ok. pięćdziesięciu chłopaków. Biegi, ćwiczenia w ogródku spadochronowym. Nauka składania spadochronu i na koniec dwa skoki oddane z pocziwego AN-2 „Antka”.

Po powrocie do Krakowa odebrałem świadectwo dojrzałości i pojechałem na ostatnie wakacje. Jednakże już na początku lipca rodzice wezwali mnie do powrotu, gdyż otrzymałem powołanie do wojska.

15 lipca stawiłem się w jednostce. Strzyżenie, kąpiel, umundurowanie, skierowanie do podod-





„Dla Andrzeja wszystko tutaj było nowe i – nie ma co ukrywać – obce. Poczynając od munduru, w którego mnogości kieszeni nie był jeszcze w stanie się zorientować, poprzez trzewiki na grubej wibramowej podeszwie i wymarzony bordowy beret, aż do gwaru w izbie żołnierskiej”.

Edwin Rozłubirski „To trzeba przeżyć”

działów szkolnych. Ze względu na wykształcenie technik-mechanik miałem zostać saperem. I tak zaczęło się moje wojskowe życie. Życie człowieka, który zawsze w głębi duszy był cywilem. Ćwiczenia w małym gaju, nauka uzbrajania ładunków, budowy prowizorycznych przepraw, nocne alarmy w pełnym wyposażeniu, marszobieg do Puszczy Niepołomiczkiej. I tak nadszedł sierpień 1968 roku. Batalion składał przysięgę bojową, bez udziału rodzin.

Ja tym czasie przebywałem w szpitalu (kontuzja kolana) i po powrocie składałem przysięgę z dwoma innymi kolegami w świetlicy. I od razu na wartę. Batalion szkolny nie wyjechał do Czechosłowacji, więc zajmowaliśmy się ochroną opuszczonych przez pododdziały dywizji obiektów. Nie przystąpiłem do egzaminów na stopień kaprała ze względu na mój dwukrotny pobyt w szpitalu i zostałem skierowany do kompanii tyłowej. Warto wspomnieć, że podczas mojej służby wojskowej wprowadzono tzw. świadomą dyscyplinę.

● **Okres zasadniczej służby wojskowej spędziłem w batalionie w Niepołomicach.**

Uchył rąbka tajemnicy na temat służby

w tej jednostce oraz opowiedz Czytelnikom o maskotce kompanii tyłowej, czyli panu Ernestie.

No cóż. Oficjalnie na przepustce, w okresie dwóch lat służby, byłem tylko raz. Zawsze gdy kadra opuszczała po południu jednostkę, część żołnierzy wymykała się na tzw. lewiznę. Ja również. Lecz nigdy nie zostałem złapany. Wojsko jak wojsko. Ćwiczyliśmy strzelanie, biegi na nartach, wyjazd na poligon (trafiła mi się fucha pomocnika kantyniarza). Spośród innych zajęć zapamiętałem budowę na Pustyni Błędowskiej miasteczka namiotowego dla weteranów – spadochroniarzy czy pomoc szkole, którą opiekował się batalion.

Żołnierze kompanii tyłowej ze swoich wypadów przynosili różne rzeczy. A to beczkę piwa, a to kryształowe lustro. Pewnego razu przyniesiona została z Puszczy Niepołomiczkiej ludzka czaszka; kompletna, z dolną szczęką. Kucharze wyparzyli ją we wrzątku. Następnie została osadzona na kij, a na jej czole pojawił się napis ERNEST. Tak powstała maskotka kompanii tyłowej. Wyruszyła z nami m.in. na najbliższe skoki dywizyjne, niesiona przez żołnierza maszerującego w pierwszej czwórce. Żołnierze kompanii, udając się do samolotu, całowali w czoło Ernesta, który wbity na kij wszędzie towarzyszył kompanii.

Uczestnictwo Ernesta w życiu kompanii nie było długie. Dowódca zakazał go nosić na ćwiczenia i skoki, gdyż pan Ernest – jego zdaniem – zanadto stresował młodych żołnierzy. Maskotka najpierw wylądowała u dowódcy w gabinecie, a co się z nią stało dalej, nie wiem. Patrząc z perspektywy lat, uważam, że nasze zachowanie wo-





bec szczątków ludzkich, była to przecież ludzka czaszka, było naganne.

Na skoki spadochronowe chodziliśmy intensywnymi marszobiegami z Niepołomic na lotnisko Aeroklubu Krakowskiego położone w pobliżym Pobodniku. Dwukrotnie startowałem do skoków z Balic. Ze smutkiem stwierdzam, że ja i moi koledzy oddawaliśmy skoki za kadre, która była do nich zobowiązana, aby utrzymać klasę skoczka. Dlatego mam za sobą około trzydziestu skoków. Niestety, nie prowadziłem ewidencji skoków wykonywanych za kadre.

Na zakończenie służby wojskowej otrzymałem list pochwalny w celu przedstawienia w zakładzie pracy, co było o tyle śmieszne, że przed służbą wojskową nigdzie nie pracowałem, gdyż jak przedstawiłem wyżej, już w połowie lipca zostałem żołnierzem.

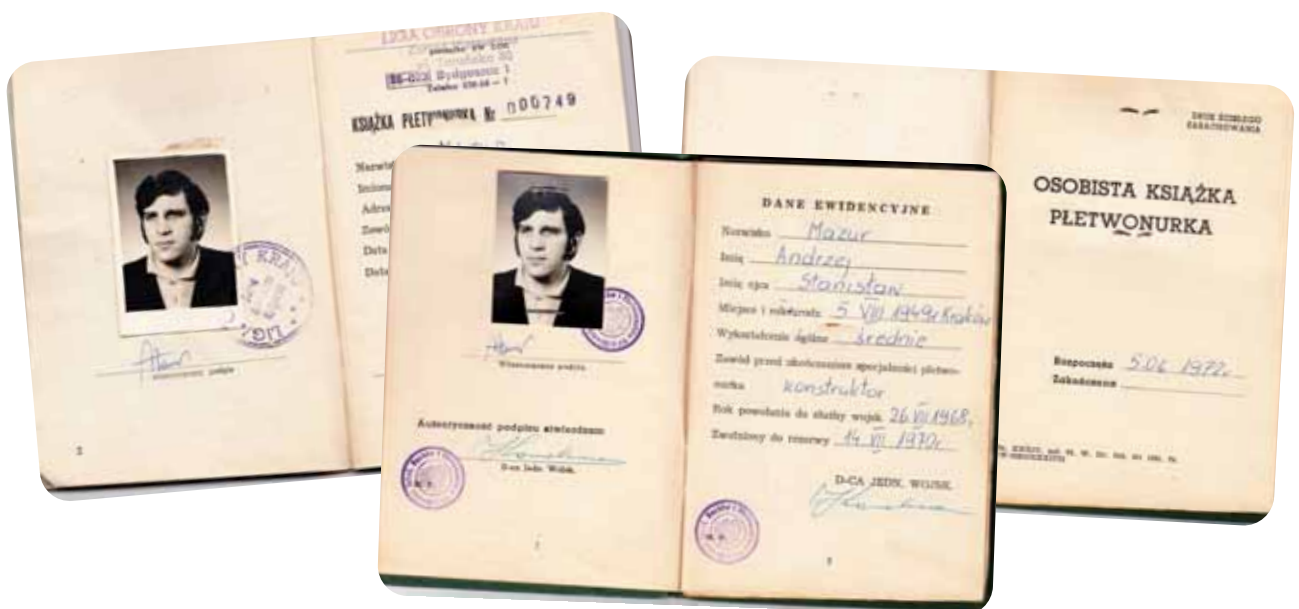
● **Niespełna w dwa lata po odbyciu służby wojskowej trafiłeś do Ośrodka Szkolenia Nurków i Płetwonurków Wojska Polskiego. Już będąc rezerwistą, zostałeś płetwonurkiem i na dokładkę uznano, że możesz być także snajperem. Czytelników zapewne zainteresuje miejsce szkolenia oraz Twoje przygody w jednostce nr 2250, gdzie najprawdopodobniej była formowana tzw. Formoza.**

Kilka miesięcy po odbytej służbie wojskowej zostałem wezwany do stawienia się w Niepołomicach, gdzie zostałem umundurowany i wyposażony. Następnie wyposażenie to zostało spakowane, a my powróciliśmy do domów. Kilkanaście miesięcy później wracałem do domu z pracy. Niespodziewanie tuż przed swoim mieszkaniem zostałem „zgnięty” do gazika i przewieziony do Niepołomic.



Na terenie jednostki zostaliśmy „zakwaterowani” w namiotach z płaszcz-pałatek. Wkrótce pojawiło się też dowództwo batalionu i padło pytanie: „Kto umie pływać?” Zgłosiłem się. Z kilkoma kolegami zostałem przewieziony na ulicę Kamienną, gdzie pobraliśmy broń (w skrzyniach) i wyposażenie. Cywilne łachy trafiły do plecaków. Wojskowym starem wyjechaliśmy do Gdyni. Podróż do ośrodka płetwonurków urozmaicało nam uczestnictwo w lokalnych imprezach kulturalnych (czytaj zabawach).

W jednostce przez okres szkolenia (czerwiec – sierpień) mieszkaliśmy w namiotach. Ponieważ nie zblakły jeszcze wspomnienia o wydarzeniach 1970 r., na przepustki wychodziliśmy w ubraniach cywilnych. Grupa, w której składzie się znajdowałem, była pierwszą szkoloną w spe-





cialności pływaka grupą rezerwistów. Uczestnikiem szkolenia był oficer w stopniu podporucznika.

Pierwszy tydzień szkolenia obejmował ćwiczenia w wielkich zbiornikach, bez butli z maską, a później z fajką. Ćwiczone orientację pod wodą oraz długotrwałe wstrzymywanie oddechu. Natomiast kwalifikacja – test sprawdzający naszą przydatność do służby w charakterze pływaka – odbył się w pierwszym dniu pobytu w jednostce. Dwaj lub trzej koledzy go nie przeszli.

Po wstępnym przygotowaniu byliśmy szkoleni w Zatoce Gdańskiej, w rejonie Babich Dołów. Był

„Pomknęli w stronę, skąd doszedł ich huk wystrzału. Nie bacząc na hałas, jaki robili, przedzierali się przez krzaki i przeskakiwali przez pnie zwalonych drzew. Żadna przeszkoda nie mogła ich zatrzymać. Mieli przecież za sobą rok służby w dywizji powietrznodesantowej”.

Edwin Rozłubirski „Złoto”

tam ogródek nurkowy, m.in. tunel z kręgów betonowych długości ok. 20 m, w którym ćwiczyliśmy. Raz utkwiliśmy w tunelu, gdyż okazało się, że jego wyjście było zatknięte kamieniami i piaskiem naniesionymi po sztormie. Nie mogliśmy się cofnąć; na szczęście idący na czele kolega nie stracił zimnej krwi i odkopał wyjście – w ten sposób opuściliśmy pułapkę, jaką stał się tunel.

Nurkowaliśmy również na torpedowisku, czyli w miejscu, gdzie okręty podwodne pobierały torpedy i tankowały paliwo. Z zabawniejszych zdarzeń pamiętam incydent związany z wyżywieniem, które otrzymywaliśmy aż z dwóch tytułów. Przysługiwał nam bowiem dodatek nurkowy i dodatek dla skoczka spadochronowego. Dostawaliśmy także dodatek nurkowy do żołdu, za zejścia poniżej 10 m pod wodę. Po dwóch miesiącach, już po powrocie do Niepołomic, czekała nas kolejna niespodzianka – skoki spadochronowe na przygodny teren dla podtrzymania klasy skoczka.

Wkrótce trzymałem kolejne wezwanie i trafiłem na poligon w Nowej Dębie (był marzec); mieszkaliśmy w namiotach, ogrzewając je kozami. Szkoliliśmy się w niszczeniu czołgów przy użyciu granatów, w tym także wykonując rzut z wykopanych stanowisk, nad którymi przejeżdżały tanki.

Podczas kolejnych długotrwałych ćwiczeń poprzez Kazuń trafiłem do Brdy – Ujścia koło Bydgoszczy. Pod wodę schodziliśmy na Brdzie oraz na Zalewie Koronowskim. Po tym szkoleniu otrzymałem II klasę pływaka. Nurkowanie wykonywaliśmy na starym sprzęcie typu Mors oraz nowszym typie o nazwie Kajman. Ciekawostką był fakt, że w szkoleniu w Brdy – Ujściu uczestniczyła grupa w zmienionym składzie. Oprócz mnie



było tylko dwóch kolegów ze szkolenia w Gdyni. Pozostali koledzy reprezentowali inne rodzaje wojsk, nie byli spadochroniarzami.

● **Opowiedz, jak zostałeś pomocnikiem dowódcy grupy i co należało do Twoich zadań. Jak była liczebność grupy specjalnej i jakie stawiano jej zadania?**

Po szkoleniu w Brdy – Ujściu zostałem pomocnikiem dowódcy grupy. Grupa liczyła od 8 do 10 ludzi. Gdyby zabrakło dowódcy, ja miałem go zastąpić. Zadaniem grupy była penetracja dna pod przeprawami wodnymi oraz ich zabezpieczenie. Do moich stałych obowiązków należała konserwacja i zabezpieczenie sprawności sprzętu do nurkowania. Nadzorowałem także napętnianie butli.

Umiejętności członków grupy były zróżnicowane, lecz wszyscy z nas generalnie radzili sobie z postawionymi zadaniami. Członkowie reprezentowali takie specjalności wojskowe, jak: łączność, saperstwo, artylerię i byli także spadochroniarze, do których się zaliczałem.

● **Z zapisów w Twojej książeczki wojskowej wynika, że ostatni raz odbywałeś wielodniowe ćwiczenia, w 1984 r. Jak zostałeś „wyeliminowany” ze składu grupy specjalnej?**

Jak sobie przypominam w roku 1983 znów dostałem wezwanie do jednostki w Węgrzcach. Zostaliśmy z niej wywiezieni samochodami i w okolicy Iwanowic zostaliśmy umundurowani oraz otrzymaliśmy broń zgodnie z posiadanymi specjalnościami. Ja byłem obwieszony jak choinka, bo miałem sprzęt aż trzech specjalności: sapera, płetwonurka oraz snajpera (karabin wyborowy Dragunowa). Gdyby mnie ktoś lekko pchnął, tobym się chyba wyrzucił pod ciężarem tego wyposażenia.

Na inspekcję przyjechał ówczesny dowódca dywizji powietrzno-desantowej. Nie pamiętam już, czy to był sławny „Tata” – gen. Zdrzałka. Gdy tylko mnie zobaczył – objuczonego sprzętem brodacza – zapytał o rocznik. Gdy usłyszał odpowiedź, zapytał ponownie: „Co wy tu robicie, żołnierzu”? Odpowiedziałem: służę. Wezwał wówczas podwładnego i rozkazał, abym nie był już więcej powoływany. Ale młyny biurokracji wojskowej meły wolno i za rok ponownie zostałem wezwany na ćwiczenia. Trafiłem do Sławy. Byłem najstarszym rezerwistą. Miałem już 35 lat. Nurkowaliśmy w jeziorze, strzelaliśmy z broni krótkiej. Otrzymałem nawet srebrną odznakę sprawności obronnej LOK.

Kilka tygodni po powrocie ze Sławy WKU wycofało moją kartę mobilizacyjną. Tak definitywnie zakończyła się moja przygoda z wojskiem, w którym byłem zadeklarowanym cywilem. Gdybym podliczył czas spędzony na ćwiczeniach, to



mógłbym śmiało powiedzieć, że niepotrzebnie zostałem spadochroniarzem, a nie na przykład marynarzem, bo i tak odsłużyłem ze trzy lata.

● **Kiedy patrzysz z perspektywy lat na swoje ówczesne umiejętności, jak i swoich kolegów, to spróbuj odpowiedzieć na pytanie, czy bylibyście w stanie stawić czoło współczesnym oddziałom specjalnym, pomijając oczywiste różnice technologiczne w uzbrojeniu i wyposażeniu.**

Gdy czytam o szkołach przetrwania, a potem sięgam pamięcią wstecz, to czasem nie wiem, czy się śmiać czy płakać, bo większość tych ćwiczeń wykonywali harcerze podczas uzyskiwania specjalności z tzw. traperki. A jak to teraz brzmi dumnie: szkoła przetrwania. Cichociemni mieli tylko kurs korzonkowy, a ich umiejętności bojowe



były przecież nie mniejsze niż komandosów z Lublińca.

Nie miałem od wielu lat okazji, by obserwować podczas ćwiczeń żołnierzy 6. Brygady. Swo-

ją wiedzę czerpię np. z dorywczej lektury np. „Komandosa”, ale przypuszczam, że gdyby zrównać nas technologicznie w zakresie wyposażenia i uzbrojenia, to nie miałbym żadnej obawy i jak równy z równym stanąłbym do konkurencji z tymi kontraktowymi żołnierzami. Sądzę, że nasze ówczesne szanse na pokonanie przeciwnika nie byłyby mniejsze niż ich.

● **Zbliżyliśmy się do końca naszej rozmowy. Powiedz teraz Czytelnikom „Komandosa”, co dała Ci służba w elitarnych pododdziałach Wojska Polskiego. Jakie wyniosłeś przydatne w cywilu umiejętności, nie licząc tych, które znam.**

No cóż. Zyskałem sprawność fizyczną, odporność, jak się dzisiaj mówi, na stres. Umiejętności, które nabyłem w wojsku oraz podczas ćwiczeń rezerwistów, począwszy od strzelania do konstruowania ładunków wybuchowych oraz te z zakresu nurkowania, okazały się w cywilnym życiu nieprzydatne, chociaż przypuszczam, że w skrajnych warunkach (np. wojennych) ułatwiłyby mi przetrwanie.

Z drugiej strony w cywilnym życiu częste ćwiczenia wojskowe powodowały kłopoty. W pracy obserwowano człowieka radzącego sobie z różnymi trudnościami zawodowymi, jednocześnie znikającego na kilka tygodni w okresie urlopowym, a wracającego odmłodzonym i opalonym. Dodatkowo traciłem na wszelkich przeszerogowaniach, gdyż paradoksalnie zdarzały się one właśnie wtedy, gdy byłem na ćwiczeniach; czyli dla świętego spokoju dawano mi najniższą stawkę, a wojsko w te sprawy nie interweniowało.

● **Kończąc naszą rozmowę, może przedstawisz młodemu Czytelnikom „Komandosa”, jak Twój charakter kształtowali wetera-**





ni II wojny światowej, których spotkałeś w przedsiębiorstwie transportowym kierowanym przez znanego mi osobiście weterana batalionu „Skala” AK – Włodzimierza Rozmusa² ps. „Buńko”.

Pierwszą moją pracę zawodową zacząłem w przedsiębiorstwie transportu samochodowego – PTSB. Pracowałem w kontroli wewnętrznej. Moim kierownikiem był pan Pasierbek, imienia już niestety nie pamiętam. Zgodnie z jego oświadczeniem był w swoim czasie adiutantem marszałka Konstantego Rokossowskiego. W pośredni sposób potwierdzały to wpływy mojego kierownika wśród kadr wojskowych. Moim starszym kolegą był pan Markiewicz, zgodnie z jego słowami dowódca nocnego bombowca dywizjonu 300 w Anglii. Ich rozmowy były fascynujące.

Przygody Markiewicza, który wrócił do Polski, chcąc zostać kontrolerem lotów na lotnisku Okęcie były ciekawe i obrazujące ówczesną sytuację polityczną. Zamiast być kontrolerem lotów na lotnisku, został... dyspozytorem w Nowej Hucie. Często uczestnikiem owych rozmów był dyrektor Włodzimierz Rozmus, który przychodził do tajnej kancelarii „na herbatkę” (Pasierbek był również jej kierownikiem). Podczas rozmów był namawiany tak przez Pasierbka, jak i przez Markiewicza, aby napisał książkę wspomnieniową o swojej działalności podczas okupacji.

Charakterystyczne dla tych wspomnianych tutaj osób, jak i innych weteranów, którzy pracowali w przedsiębiorstwie, było to, że bardzo powściągliwie wspominali swoją wojenną przeszłość. Rozkręcali się dopiero w sprzyjających warunkach. Były to opowieści tragiczne, a czasem komiczne. Patrząc z perspektywy lat, żałuję, że nigdzie nie odnotowywałem tych opo-



wiadań i jak myślę, większość z nich przepadła wraz ze śmiercią autorów.

W PTSB pracowałem jedynie rok, gdyż zwoleńłem się z pracy, ze względu na... wspomniane powyżej „herbatki”. Ich zawartość tylko w połowie stanowiła herbata, reszta objętości uzupełniana była alkoholem, której pełną szafę (pancerną) miał w tajnej kancelarii jej kierownik.

● Serdecznie dziękuję Ci za rozmowę.

Rozmawiał: Kazimierz Kraj

Fot. archiwum A. Mazura

1. Przy batalionie znajdował się dywizyjny Ośrodek Szkolenia Spadochronowego (K. K.).

2. Napisał m.in. wspomnienia pt. „W oddziałach partyzanckich i baonie „Skala”, wydane w 1987 r.

